

BIBLIOTEKA WYDZIAŁU
Pedagogiki i Psychologii - Uniwersytetu w Białymstoku



WPP0004666

Mały Świątek.

Czasopismo ilustrowane
dla dzieci



03602

A komuż to aniołkowie?



A komuż to aniołkowie
Tak precudnie grają?
A komuż to pastuszkowie
Tak wdzięcznie śpiewają?
Oj śpiewają pastuszkowie
Dzieciatku małemu,
Grają, grają aniołkowie
Panu Bogu swemu.

W stajeneczce, przy mabezce
Śpij, Boża Dziecino!
Niech Ci chwilka, po chwileczce
Słodko, miło płyną,
Niech Ci płyną ot tak jasno,
Jak ta zorza świeci —
Nim do ludzkich cierpień wstanieś,
By zbawić Twe dzieci.



KTO WINIEN?

POWIEŚĆ Z ŻYCIA MŁODZIEŻY WARSZAWSKIEJ

przez

Izę Moszczeńską.

(Nagrodzona na konkursie „Małego Świątka“).

Antoś Bolański nie miał wielu przyjaciół w szkole, a nie miał ich głównie dlatego, że ich nie szukał.

Był to chłopiec cichy, zamknięty w sobie, niezmiernie pilny i co się nazywa uczeń wzorowy. — Nigdy nie brał udziału w ruchliwych zabawach, do wspólnie obmyślanych psot nie należał, nie podpowiadał lekcji, wreszcie unikał tego wszystkiego, coby go względem przełożonych w czemkolwiek narazić mogło. Dzięki temu, przechodził szczęśliwie z klasy do klasy z odznaczeniem.

Koledzy okazywali mu pewną nieufność. Z początku nawet podejrzewali go o obłudę, o chęć przypodobania się profesorom, a wyróżniania się z pomiędzy nich, nie szczydziłi mu też przezwisk i przycinków, nazywali go „marmurkiem, trusią, kowalem“.

Kiedy jednak Antoś wszystkie te zaczepki znosił cierpliwie, chęci odwetu nie okazywał, a w razie potrzeby nie uchylał się od oddania jakiejś dozwolonej przysługi — przestali go prześladować i tylko trzymali się od niego zdaleka.

Zresztą sposobności do zbliżenia się nie dawał żadnej. W pauzach między lekcjami, odrabiał zadanie lub książki czytał i trudno było wogóle dowiedzieć się czegośkolwiek o jego stosunkach domowych lub nawet o jego uczuciach i wrażeniach w szkole doznawanych. Jedno tylko dla każdego było widocznem — to mianowicie, że Antoś przywiązywał ogromną wagę do cenzur i stopni. Nie wybuchał wprawdzie radością, gdy otrzymał piątkę, ale błada jego twarzyczka oblewała się wówczas żywym rumieńcem, a w oczach migotał blask, który całej fizyognomii nadawał wyraz promienny. Raz nawet wybuchała z tego powodu w klasie mała burza.

Antoś, wogóle średni uczeń, był jednak najpierwszym w łacinie. Miał tylko jednego współzawodnika, Henia Warskiego. Lecz Henio zbyt był żywy, roztrzepany i różnemi zajęty zabawami, żeby mu na każdym kroku dotrzymać placu. O ile się jednak postarał i skupił uwagę, nietylko, że dorównał Antosiowi, lecz czasem go nawet wyprzedził. Każdy taki mały tryumf Henia nad Antosiem wywoływał wielką

radość w całej klasie, gdyż Henio był ulubieńcem swych kolegów.

Wesoły, usłużny, trochę lekkomyślny, lecz bardzo poczciwy Henio, dopomagał niejednemu, a wszystkich zjednać sobie umiał. Lubił też ogromnie towarzystwo, a że i czasu miał dosyć, bo był zdolny i lekcji niedokuwał, a rodzice zamożni na nic mu nie szczydziłi, więc często gęsto zapraszał kolegów, uprzejmie ich ugaszczał, wspólne spacerował i wycieczki urządzał, pożyczał książek, słowem, czem mógł, każdemu z przyjaciół życie uprzyjemniał.

Pewnego razu, kiedy podczas lekcji łaciny, pisano ćwiczenia klasowe, Henio wbrew zwyczajowi — zdobył się na tyle uwagi i cierpliwości, że się świetnie ze swego zadania wywiązał. Mimo to otrzymał od profesora czwórke, podczas kiedy Antoś dostał piątkę i to ozdobioną krzyżem.

Po lekcji wybuchło w klasie głośne oburzenie na niesprawiedliwość profesora. Chłopcy uznali, że ćwiczenie Henia było znakomite, bez porównania lepsze od pracy Antosia, zaczęli nawet temu ostatniemu przycinać, że tylko swej obłudzie i łasce profesora zawdzięcza taką »niesprawiedliwą piątkę«.

Kiedy koledzy obłudę mu zarzucać zaczęli, Antoś zmieszał się, zasępił, a w rozpromienionych przez chwilę oczach, łzy błysnęły. Byłby się może biedak rozplakał na dobre, gdyby nie to, że uczniowi ósmej klasy jakoś płakać nie wypada i że to byłoby naraziło go na gorsze jeszcze przycinki i wyśmiewanie ze strony kolegów.

Henio tymczasem, choć doznał zawodu, choć trochę rozżalony, we współczuciu kolegów znalazł ulgę i niemal w tryumfie przez garstkę przyjaciół do domu został odprowadzony.

Kiedy tylko wszedł do mieszkania, zaraz pobiegł do matki i wedle zwyczaju zdawał jej sprawę ze swych wrażeń.

— Dostałem czwórke mamo, ale zasłużyłem na piątkę. Wszyscy mi to przyznali i wszyscy na profesora oburzeni. Antoś dostał piątkę, ale niesprawiedliwie. Ja napisałem lepiej. Antoś zawsze lepsze stopnie dostaje, bo taki wzorowy.

— Dziecko kochane — odparła pani Warska — jestże się też o co na profesora oburzać? — Najpierw nie mam najmniejszej pewności, że wy właśnie uczniowie macie słuszność, a nie nauczyciel. Bądź zresztą przekonany, że takie ćwiczenie można jeszcze lepiej napisać niż ty, albo Bolański. Jeżeli dziś nie dostałeś piątki, możesz ją dostać, gdy się lepiej w łacinie wydoskonalisz.

(Ciąg dalszy nastąpi)

DO BIEGUNA.



Fridtjof Nansen.

Gromadka chłopaków ślizgała się wzdłuż rzeki. Wszyscy byli zręczni i zwinni i wszyscy w śmiałym a rażnym biegu usiłowali wyprzedzić się wzajemnie. Jeden z nich wszakże zostawiał wszystkich ciągle po za sobą. Smukły, silny, jasnowłosy, oglądał się co chwila na pędzących za nim towarzyszy, a oczy mu się śmiały w zarumienionej z mrozu twarzy.

Irgens, do grobli, a no, kto prędzej! — zawołał nagle, zwalniając biegu, póki jeden z chłopaków z nim się nie zrównał. Wezwany stanął przy nim i nie tracąc słowa, puścili się obaj w zawody. Gromadka chłopaków pędziła za nimi. Dwaj pierwsi biegli zrazu zgodnie obok siebie, wkrótce jednak począł jeden z nich wyprzedzać drugiego coraz bardziej, coraz szybciej; jego współzawodnik robił rozpaczliwe wysiłki, ażeby mu sprostać, lecz daremnie. Jak strzała mknął dzielny, jasnowłosy chłopak po szklistym, iskrzącym się lodzie, nozdrza mu drżały, pierś falowała, a on wciąż pędził naprzód i naprzód.

— Hej, Fridtjof, niepotrzebnie tak się spieszysz, Irgens i tak cię już nie dopędzi! — wołali chłopcy za nim.

Ale Fridtjof nie obejrzał się nawet po za siebie. Roześmiał się tylko wesoło i nie zwolnił biegu, póki nie stanął przy grobli. Teraz dopiero spostrzegł, że ogromna przestrzeń dzieliła go od Irgensa. Wrócił więc do towarzysza i odtąd już zgodnie biegł razem z nim.

— Cała sztuka w tem, że masz dłuższe nogi odemnie — mówił zachmurzony Irgens.

— A może lepsze łyżwy! — śmiał się wesoło zwycięzca.

— Czyż nie wiecie, że Fridtjof musi być wszędzie najpierwszy? — odezwał się jeden z towarzyszy — zdaje mi się, że wszystko umie najlepiej.

— Masz może ochotę spróbować się ze mną? A no, to proszę! — zawołał Fridtjof zaperzony, mierzząc oczyma figlarnie uśmiechającego się chłopca.

— Dobrze, spróbujmy się! — odrzekł chłopak, mrugając znacząco oczyma. — Tylko nie w biegu, bo ty masz naprawdę jakieś siedmiomilowe buty. Spróbujmy się w skoku, a no, kto lepiej groblę przesadzi.

— Groble? — Fridtjof spojrział z niedowierzaniem, grobla miała bowiem siedm stóp wysokości. — Słuchajcie chłopcy, Lars chce groblę przeskoczyć!

— A czemużby nie! — wołał Lars, mrugając ciągle na chłopców — powiadam, że przeskoczę, a nawet lepiej od ciebie, o co zakład?

— Ho, ho, tak, jak ty, to chyba i ja skoczę! — krzyknął podrażniony Fridtjof — stawajmy!

Chłopcy cofnęli się o kilka kroków, żeby wziąć

rozpęd do skoku. Fridtjof na óslep puścił się naprzód, skoczył i uwiśł w połowie grobli na wystających prętach wierzbowych.

— Hurra, hurra! Fridtjof zawsze najpierwszy! — wołali, śmiejąc się chłopcy, a najgłośniej śmiał się Lars. Wiedział bowiem figlarny chłopak, że Fridtjof Nansen gotów jest spełnić największe nawet szaleństwo, gdy tylko kto podrażni jego ambicję.

Ta ambicja w połączeniu z nieustraszoną odwagą pozostała na zawsze wybitną cechą charakteru Fridtjofa Nansena, którego sławą rozbrzmiewa obecnie świat cały. Bo trzeba wam wiedzieć, że mały ten chłopak wyrósł na dzielnego podróżnika i badacza okolic podbiegunowych, że powrócił właśnie stamtąd przeżywszy całe trzy lata wśród nocy i lodów — a dzieje tego szczególnego człowieka i jego przygód nadzwyczajnych zaraz wam opowiemy.

(C. d. n.)

St. Kossowska.

PIOSNKA SIEROITY.

Oj, ubogi ja sierota
Na tym świecie sam!
Młynarzowe gęsi pasę,
Na fujarce gram,
Młynarzowe gęsi pasę
Po tej strudze w bród;
Na fujarce gram wierzbowej
Czy mnie głód, czy chłód.

Leć-że głosie, leć po rosie
Ty piosenka ma,
Sam Pan Jezus słucha z nieba,
Jak sierota gra!
Sam Pan Jezus słucha z nieba,
Z za tych złotych chmur,
Jak się echo fujareczki
Odbija o bór.

Idzie ojciec, idzie matka
Przez niebieski próg,
Tylko im to rajskie kwiecie
Kłoni się do nóg.
Tylko im ta rajska zorza
Złote szaty tka,
Tylko z oczu łzy im lecą
Jak Jasieńko gra!

A ty ojczu, a ty matko,
Błogosławcie mnie,
Niech-że ja też na tym świecie
Nie zagubię się!
Niech-że ja też na tym świecie
Jasną dolę mam,
I wesoło gąskom moim
Na fujarce gram!

Marya Konopnicka

Pierwszy Arlekin.

Przed kilku
wiekami, we
włoskiem mie-
ście Berga-
mo, chodził do
szkoły chło-
pak pilny, pra-
cowity, uczyn-
ny dla kole-
gów, ale bar-
dzo ubogi; chłopiec ten nazy-
wał się Harlekino. A był wów-
czas we Włoszech zwyczaj,
że żacy, jak dawniej studen-
tów nazywano, dostawali na ostatnie dni zapust
nowe suknie i w nich jawili się na ulicach, pod-
czas zabaw karnawałowych. Dnia tego oczekiwali żacy
z upragnieniem większem nawet, niż zakończenia roku szkol-
nego, bo na końcu kursu nie każdemu dostawała się na-
groda, a leniwi ze strachem myśleli o nim — w zapusty zaś
wszyscy, bez względu na postępy w naukach i zachowanie
się w szkole, dostawali nowe suknie.

Już na kilka tygodni przed owym upragnionym dniem
opowiadali sobie żacy w Bergamo, jakie który dostanie ubra-
nie; jeden tylko Harlekino milczał podczas tych wesołych,
głośnych rozmów.

— A ty jaką suknię ubierzesz na karnawał? — zapytał go jeden z kolegów.

— Tę, w której jestem obecnie. Ojciec mój chorował ciężko tej zimy i matka nie ma
za co kupić materji na nowe ubranie.

Gdy Harlekino odszedł, inni żacy zatrzymali się w przysionku gmachu szkolnego i za-
częli się naradzać, jakby to przyjść w pomoc ukochanemu koledze.

— Wicie co! — zawołał Antonio — niech każdy z nas utnie kawałek swojej mate-
ryi, a z tych kawałków matka Harlekina uszyje mu suknię.

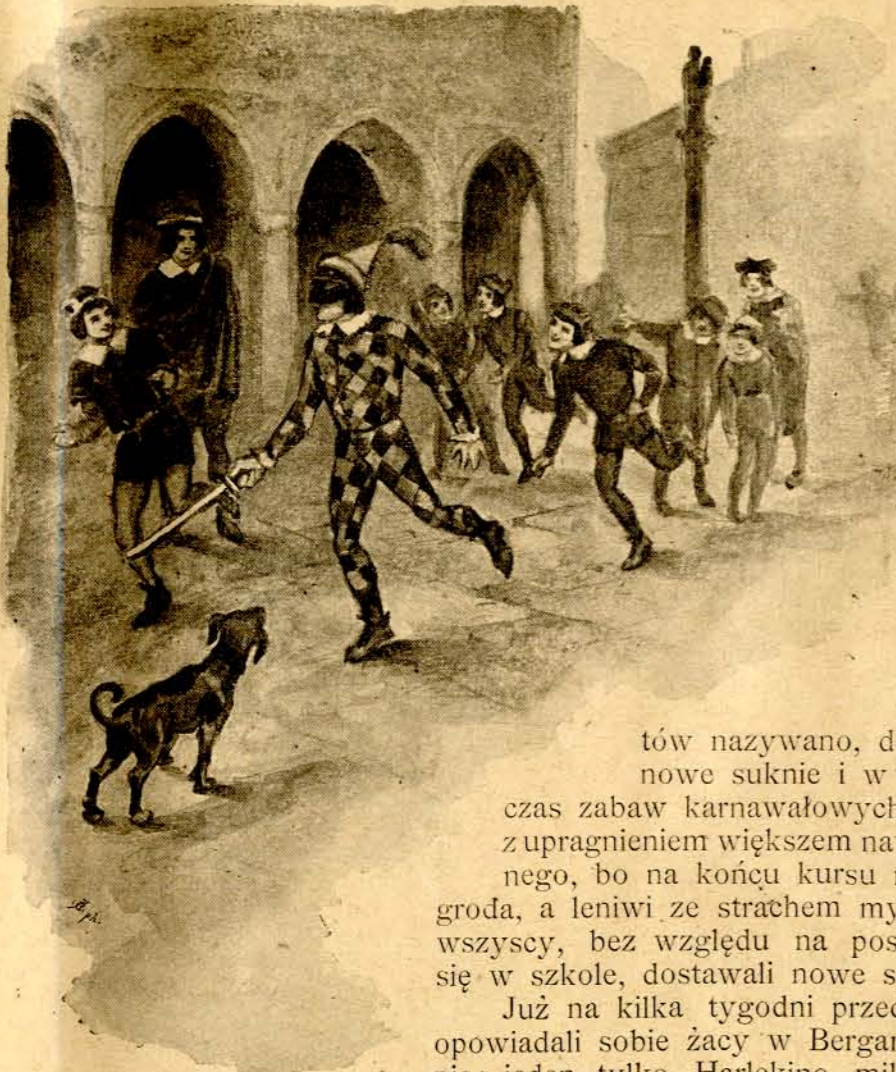
Plan podobał się. Nazajutrz rano przed rozpoczęciem nauki, zbiegli się chłopcy w domu
Harlekina, każdy z radością wydobywał przyniesiony kawałek materji. W tem prawie ze wszy-
stkich piersi wydarł się okrzyk zdziwienia, bo każdy kawałek był innego koloru. Chłopcy opu-
ścili bezwładnie ręce. — „Nie pomyśleliśmy o tem“ — szepnął Antonio.

— Nic to nie szkodzi — zawołał wesoło Harlekino — uszyjesz mi mameczko suknię
z tych wszystkich kawałków, wszak na karnawał można się ubierać dziwnie, a mnie ta
suknia będzie bardzo miła, bo każdy jej płatek — to dowód miłości jednego z kolegów.

W dniu oznaczonym Harlekino ubrał się w pstrą suknię, twarz pokrył czarną mase-
czką, na głowę nałożył spiczasty kołpak, wziął w rękę drewniany mieczyk i tak otoczony
gronem kolegów ukazał się na ulicach miasta. Zaciekawione tym szczególnym strojem tłumy,
biegły za nim, otaczały go, zaczepiały, a on odpowiadał im wesoło i dowcipnie.

Od tego czasu, żadna zabawa zapustna nie mogła się obyć bez „arlekina“. Z Włoch
postać ta przeszła do całej Europy — i u nas w Polsce był zwyczaj, że na czele kuligu jechał
arlekin, zapowiadając przybycie gości, — zapomniano tylko, że wesołą tę postać powołała do
życia miłość koleżeńska.

A. L.



WIECZÓR WIGILIJNY.

W szlacheckim, polskim dworku zastawiono
właśnie wieczerę wigilijną. Oplątki leżały już na
stole, sianko pachnące przykrywał biały obrus, świece
jasno płonęły i rzucały promienie na Jezusa leżącego
w malutkim żłobeczku, na środku stołu. Ten Pan Jezus,
słicznie z wosku wyrobiony, był to dar mamy
dla córeczki Zosi. Wszyscy koło stołu stanęli i mó-
wili modlitwę. Zosia odmawiała ją zwykle głośno,
więc i teraz serdeczny jej głosik dźwięczał po po-
koju, a łyzy prawie w nim czuć było, gdy wymawiała
jak zwykle po pacierzu słowa: „Boże pozwól dzie-
dziowi wrócić z niewoli tureckiej“.

Głębokie westchnienie rodziców Zosi, towarzy-
szyło tym słowom.

— Mamo, kiedy dziadzio wróci? Już tak dawno
modłę się za niego.

— Wróci, wróci, jeśli tylko żyje jeszcze — mó-
wiła matka ze łzami. — Już tak dawno posłaliśmy o-
kup za niego, więc jeśli Pan Bóg nad nami się zmi-
łuje, to zobaczysz go jeszcze tej zimy.

Zaczęto właśnie łamać się oplątkiem.

— Ktoś jest w sieni — zawołała Zosia, usły-
szawszy szmer jakiś.

W tej chwili otworzyły się drzwi i biały staru-
szek wszedł do pokoju. Co się to stało, czy on mó-
wić nie umie i kroku postąpić nie może? Stanął jak
wryty, ręką silnie przyciskał serce, jakby z bólu pę-
knąć, albo z radości pierś rozsadzić mu miało. Pa-
trzy na wszystkich koleją, to na stół wigilijny spó-
ziera, a łyzy wielkie, gorące spadają mu na siwą
brodę.

— Ojciec, ojciec najdroższy! — krzyknęła ma-
tka Zosi i do nóg jego się schyla, za nią mąż jej
i Zosia przypadli do starca.

— Wróciłeś dziadziu, wróciłeś — mówiła dzie-
wczynka — ja się codziennie za ciebie modliłam. Nie
płacz już dziadziu, popatrz! ja jestem twoją wnu-
czką, nazywam się Zosia. Turków nie cierpię, szkoda,
że nie jestem chłopcem, bo bym poszła na wojnę
z nimi za to, że tobie krzywdę robili.

Dziecko szczebiotało bez końca, całując
i ściskając dziadka; rodzice jej jeszcze mówić
ze wzruszenia nie mogli, a starca
tymczasem siły coraz bardziej o-
puszczały, chwiały się i słaniały, aż na-
reszcie upadł na krzesło, a płacz
wielki i głośny wstrząsnął jego pier-
siami. Och, były to łyzy, które wyci-
snęła dwudziestoletnia niewola ture-
cka i łyzy radości tak wielkiej, że jej
pomieścić nie mogło biedne serce sta-
ruszka. Przez dwadzieścia lat nie wi-
dział swych dzieci, nieba ojczystego,
nie słyszał mowy rodzinnej, ani mo-
dlitwy w kościele. A teraz wszystko
to naraz zobaczył, i jeszcze mały
Pan Jezus ze żłobeczka rączki ku ni-
mu wyciąga.

Po długiej chwili posadzono bia-
łego dziadusia przy stole. Zosia nie
odeszła już od niego, bo wszystkiego
o tej strasznej niewoli chciała się do-

wiedzieć. Więc dziadzio, choć strudzony i wzruszony
nad wszelki wyraz, opowiadał, jak to przed dwudzie-
stu laty porwali go rannego Turcy i związanego
gnali wraz z innymi, a on z żalem i smutkiem oglą-
dał się za siebie i widział już zdala tylko polskie
lasy i kościoły, a myślał, że ich już nigdy więcej nie
zobaczy. Potem sprzedano go do galer. Och, to były
straszne czasy!

A co to za galery, dziadziu? — spytała Zo-
sia, która policzki miała czerwone z oburzenia na
Turków, a oczy pełne łez nad nieszczęściem dzie-
dusia.

— Galery, to są wielkie łodzie, do których Turcy
przykuwają swoich niewolników, aby wiosła poru-
szali. Gdy wojna morską wybuchnie, to pierwsi za-
wsze giną biedni niewolnicy. Ale ani ciężka robota,
ani plagi dozorców, ani słońce upalne, nie piekło tak-
kim ogniem, jak tęsknota za krajem. Och, bo nie ma
nic droższego nad ziemię ojczystą i gdyby ci dano
za nią wszystkie perły morza, i złoto całego świata,
to byś rzucił za siebie, a biegł do ubogiego rodzin-
nego domku.

— O, dobrze mówisz dziadziu! Nie oddamy
nigdy Turkom ziemi naszej — zawołała Zosia —
i choćby tu znowu do nas przyszli, będziemy się
bronić i pobijemy ich.

Dziadek przycisnął do serca dzielną Zosię i Bogu
dziękował, że takie dzieci w Polsce się rodzą.

Uplłynęło lat kilkanaście. Zosia dorosła i wyszła
za mąż za pana Chrzanowskiego. W Polsce panował
wówczas król Jan Sobieski. Turcy z ogromną potęgą
wpadli do Polski, zdobyli wiele miast i oblegli Tre-
bowlę, gdzie dowódcą był Chrzanowski, mąż Zosi.
Mieszkańcy Trembowli nie mając nadziei, że się takiej
potęgę obronić potrafią, chcieli się poddać Turkom,
ale Zofia Chrzanowska oburzona, stanęła z mieczem
przed mężem i zawołała:

— Ciebie i siebie zabiję, jeśli się poddacie.
Walczmy dalej, a Bóg nam będzie pomagał!

Odwaga Zofii wszystkim dodała męstwa, a tym-
czasem Sobieski przybył z odsieczą. Tak więc Zofia
dotrzymała słów, które jako dziecko powiedziała:
„Nie damy Turkom naszej Ojczyzny“.

Wiktorya Hozerowa..





Zajaczki.

Śnieg padał i padał bezustanku, a drobnutkie jego płatki kładąc się jeden na drugim, zasypywały powoli domy, lasy i pola.

Dzieci wyglądając oknem z ciepłych pokoików, klaskały w ręczki, ciesząc się, że już idzie zima, że będą się ślizgały, jeździły saneczkami i ani pomyślały, że tam w lesie pod gałęzmi zasypańmi śniegiem drżą od zimna bezdome ptaszki i inne zwierzątka.

Śnieżny puch czysty, nietknięty, przykrył czarną ziemię, brudne błoto, wyrównał garby i jamy — ale na tej czystej, białej powierzchni, widać dwie ciemne plamki. Jedna z tych plam poruszyła się, powiększyła, a po chwili wysunęła się z białego puchu wąsata, wielkooka i wielkoucha głowa młodego zajaczka. Nastawił uszu, chwilę nadsłuchiwał trwożnie, a przekonawszy się, że dokoła panuje niezmacona, żadnym szelestem cisza, podniósł się, otrząsnął ze siebie śnieg i usiadł na tylnych łapkach. Jakkolwiek sprawiał się bardzo cicho, to jednak ruchy jego nie uszły uwadze braciszka, co leżał w sąsiedniej jamce. I on poruszył się, usiadł, a otworzywszy szeroko wielkie oczy, szepnął:

— Oj, dobrze się spało pod śniegiem, tak ciepłutko.

— Żeby nie ten głód, to nie wartoby się i ruszać i budzić, ale cóż robić, jeść mi się chce niezmiernie — odparł drugi.

— Ale gdzie tu czego szukać, wszystko przykrył śnieg, nawet nie wiem, gdzie właściwie jesteście.

I oba zajaczki zaczęły się rozglądać uważnie w około.

— Widzisz tam tę wielką sosnę — rzekł starszy, którego w rodzinie zwano Szaraczkiem — to ta sama, pod którą bawiliśmy się w lesie, z pod niej trafię wszędzie.

— W lecie — odparł młodszy — ale nie teraz, gdy wszystkie krzaczki i pola pokrył śnieg.

— A ja ci mówię, że trafię, chodźmy tylko pod sosnę.

I oba zajaczki zerwały się żywo i popędziły co tchu w stronę choiny. Ale tu stanęły jak wryte, uszu ich doleciał lekki, ledwie dosłyszany szelest, a im zdawało się, że to cały las wali się i że grozi

im wielkie niebezpieczeństwo. Chwilę stały bez ruchu, ale że szelest umilkł, więc odważyły się podnieść głowę. Na choinie siedziała śliczna, zgrabna, wesoła wiewiórka — i ona tchórz nie lada, więc w pierwszej chwili zaczęła się między gałęzmi, ale ujrawszy zajaczki, a wiedząc z doświadczenia, że one jeszcze od niej trwożliwsze, zaczęła je wyśmiewać.

— Ha, ha, ha! — zaśmiała się głośno — a wy czego tak przerażyliście się?

Zajaczki oprzytomniały.

— Dobrze tobie śmiać się, kiedy masz gniazdo, ciepłe, dobrze ukryte w dziuple i pełne smacznych orzechów.

— A któż wam bronił zbierać w jesieni zboża i jarzyny i wygrzebać wygodną

norę? Teraz siedziatybyście sobie spokojnie, jak ludzie za piecem, przegrzałybyście w lesie zebrane zapasy i wysypiały się całą zimę. Zajaczki pospuszczały skromnie uszka, a starszy rzekł:

— My nie winni temu, nas nikt budować, ani zbierać zapasów nie uczył.

Ale wiewiórka rada, że raz komuś zaimponować może, mówiła tonem podniesionym:

— Tak to, tak bywa, tym, co nie pracują, kiedy powinni — paniętam doskonale, że kiedy w lecie męczyłam się i pocilałam, znosząc orzechy do dziupła, wy wylegiwałyście się i przesypaniały dni całe. — Marznijcie że teraz i głodujcie.

To mówiąc, podniosła smaczny orzeszek do pyszczki i zaczęła go wesoło zagryzać, ale w tej chwili z wielkim impetem wypadł z lasu lis, zajaczki zapadły się pod śnieg, wiewiórka wypuściwszy orzech, czmychnęła do dziupła, lis przemknął, nie spojrzawszy nawet na zajaczki, a w powietrzu rozległ się strzał.

(C. d. n.),

Anna Lewicka.

NIE MA JÓZIA — JÓZIO JEST!

komedyjka

napisała Zofia Grynbergowa.

OSOBY: JUREK, RENIA, MISIA, JÓZIO, MATKA, ANIOŁ, DYABEŁ, SŁUŻBA, DOMOWNICY.

SCENA I.

(Pokój dziecienny, Misia siedzi w głębi sceny zajęta robótką ręczną, Jurek i Renia grają w milczeniu w wolanta).

RENIA (po kilku rzutach, które jej się nie udają, podwaja usiłowania, skacząc gwałtownie).

JUREK (grając ciągle) Gdybyś nie była tak zapalczywa, to byś się prędzej nauczyła.

RENIA. Nie potrzebuję się uczyć grać w wolanta, bo gram lepiej od ciebie, przypadkiem tylko

rzuciłam gorzej; złe światło jest w tym miejscu (przechodzi na drugą stronę).

JUREK (zmieniając także miejsce) Dziwna rzecz, że ten przypadek codziennie się przydarza i codziennie w złym świetle się ustawiasz do wolanta.

RENIA. Szczęście ci służy.

JUREK. Kto nie ma szczęścia do czego, powinien tego unikać.

RENIA. Kiedy ja ci pokażę, że umiem lepiej grać od ciebie! Dlaczego ty masz być pierwszym we wszystkim.

JUREK. We wszystkim nie jestem pierwszym, bo nawet Misia potrafi lepiej odemnie fartuszki wyszywać. Nawet lepiej je wyszywa niż ty! ty tak nie potrafisz! (złe podbija piórko).

RENIA (gwałtownie) Co? ja nie potrafię wyszywać? (rzucę wolanta na ziemię) O, to było umyślnie! Ty umyślnie źle rzucasz, dlatego ja nie mogę dobrze odbijać. To cała tajemnica twego szczęścia i twojej zrzeczności. Ja się tak nie bawię.

JUREK. Złej taneczniczki fartuszek zawadzi.

RENIA. Więc ja gorzej wyszywam niż Misia... gorzej gram w wolanta niż ty, wszystko gorzej robię.

JUREK. Możebyś potrafiła niejedno lepiej robić, ale wszystko chcesz umieć, wszystko chcesz robić lepiej od drugich i nie stajesz ci czasu do wszystkiego.

RENIA. O, jaki mi tu moralista, jaki mi tu senzat! (podnosi wolanta) No, spróbujmy się jeszcze.

JUREK. Wolałabyś ćwiczyć na fortepianie to potpourri swoje, kiedyś przysięgła, że je lepiej grać będziesz niż Dusia. Mogłabyś wziąć wzór z Misi, patrz, jak ona pilnie robi to, co ma zadane.

RENIA. Och, taka pilność gwałtowna, może jej na zdrowiu zaszkodzić. Misiu, rzuć tę robotę, zagrajmy!

MISIA (powoli, przeciągając słowa) Daj mi spokój!

RENIA. Gdzieżby takiej rozlazłej istocie chciało się grać w wolanta. Prawdziwy ślimak, istna foka morska.

MISIA (zawsze powoli mówiąca i powolna we wszystkim) Niech sobie będzie foka. Foka czy nie foka, ślimak czy nie ślimak, ale foka lepiej pamięta niż jedyna niefoka, że święty Mikołaj się zbliża.

RENIA (rzucę wolanta) Ej, co? Doprawdy? JUREK. Ktoś, co nie był pilnym w zeszłym roku, nie dostał od świętego Mikołaja.

RENIA. O, jeden mały chłopiec, dziecko jedno, które się nazywa Józio, więcej w zeszłym roku dostało od świętego Mikołaja, niż jeden panicz przemądry, przedowcipny, mający same znakomicie ze wszystkiego.

MISIA. A, ja wam ręczę, że i w tym roku Józio znów najwięcej dostanie.

RENIA. Pieszczoszek najwięcej dostaje zawsze. MISIA. Święty Mikołaj najbardziej lubi najmniejsze dzieci.

JUREK. Naturalnie, im człowiek jest starszym, tem mniej dostaje od świętego Mikołaja. Zresztą zależy to także nie od ilości tych podarunków, ale od jakości. Wolę jedną rzecz dostać a porządną, niż dużo pierników złonych.

MISIA. Ciekawam, czy tam w niebie te pierniki pieką jakie kucharki, czy cukiernicy?

JUREK. Bo co to za przyjemność być w niebie, a piec pierniki.

RENIA. Żeby cię tylko wzięli do nieba, to byś już chciał być piekarzem nawet. Ja bym chciała być cukiernikiem, co by mi to szkodziło. Ach, jakiebym piekła pierniki doskonałe dla dzieci na świętego Mikołaja! Nie po jednym migdałku dawałabym na pierniczki, ja bym do środka dawała migdały, orzechy, dopiero byście widzieli!

MISIA. Ciekawam, czy też są krawcy w niebie?

RENIA. Dlaczego się pytasz?

MISIA. Bo ja bym chciała dostać ślubną sukienkę śliczną, z ogonem...

RENIA. Ty suknię ślubną?

MISIA. Dla lalki.

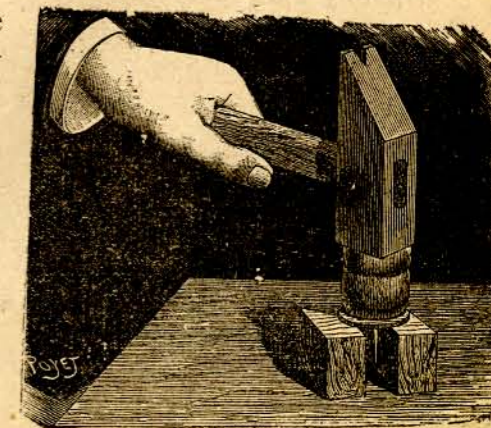
(Ciąg dalszy nastąpi).

ZABAWKI NAUKOWE.

Jak można pieniądz przekłuć igłą?

Jeżeli powiecie waszym kolegom lub rodzeństwu, że przekłujecie pieniądz igłą i to nawet cienką igłą, nie uwierzą wam z pewnością. Jednakże „Mały Światek“ zaręcza wam, że doświadczenie to zrobicie, możecie się nawet założyć o to, i z pewnością wygracie zakład.

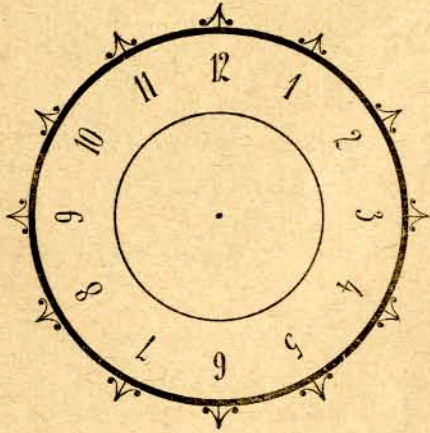
Weźcie jeden lub dwa korki i wbijcie w nie ostrożnie igłę, jeżeli igła jest dłuższa od korka, wtedy utnijcie obiegami wystające z korka uszko, ale uważajcie, aby ostry koniec nie wystawał poza korek. Połóżcie teraz cienki pieniądz, na przykład: fenig, półcent, dawny dziesiątaczek w ten sposób, jak wskazuje rycina, na nim ustawcie korek przekłuty igłą, uderzcie w korek silnie młotkiem, a igła nie zegnę się z pewnością, lecz przebije pieniądz. Nie zegnę się, bo do tego nie dopuści dokoła otaczający ją korek, a przekłuje pieniążek, bo zrobiona ze stali, a stal jest materiałem trwarszym od miedzi, srebra i innych aliaży, z których wyrabiają pieniądze. — Przestrzegamy was tylko, że pieniądz musi być cienki i że należy uważać, aby podczas przekłuwania korka nie ułamać koniuszka igły.



Fr. Barański.

Z A G A D K I.

ZAGADKA ZEGAROWA.



Cyfry zastąpcie takimi literami, aby utworzyły wyrazy, których znaczenie jest następujące:

- 1, 2, 3, 4, 5, 6 — Ojczyzna nasza.
 3, 7, 8, 9, 6 — Ojczyzna Jagiellonów.
 9, 6, 10, 4, 11, 6, 9, 6 — Stolica Mazowska
 5, 10, 6, 5, 2, 9 — Stolica Małopolski.
 9, 7, 4, 12, 6 — Królowa rzek polskich.
 2, 3, 7, 9, 4 — Miejsce sławne pokojem z r. 1660.
 3, 9, 2 9 — Stolica Rusi.

ZAGADKA OBRAZKOWA.



Z rozrzuconych w obrazku liter, złożyć pierwsze słowa znanej kołądy.

Za rozwiązanie powyższych zagadek, przeznaczona jest piękna książkę w nagrodę.

Korespondencye Redakcyi.

Do wszystkich czytelników „Małego Światka“.

„Mały Światek“ dziękuje serdecznie wszystkim swoim czytelniczkom i czytelnikom, którzy przysłali mu świąteczne życzenia i zasyła im nawzajem najszczerze życzenia wesołych świąt, a łamiąc się w duszy opłatkiem z każdym z osobna, życzy wam, byście wyrosli na zacnych i dzielnych ludzi, miłujących Ojczyznę całym sercem i pracujących dla jej dobra i odrodzenia.

Redakcyja.

Rozwiązanie zagadek, wykaz tych, którzy rozwiązania nadesłali i odpowiedzi na wszystkie listy otrzymane od 10. grudnia, ogłosimy w następnym numerze.

Cennik magazynu pod firmą
KAUCZYŃSKI i OBERSKI

Lwów, ul. Karola Ludwika l. 7.

Filia ul. Halicka l. 6.

Wyprawki dla lalek. Lalka w stroju panny młodej od złr. 5 do 15, Kufereczek z całą wyprawą od złr. 3 do 10, Szafki ze sukniami od złr. 5 do 15. Przybory kuchenne. Kuchnia żelazna do gotowania z naczyaniem, wraz z maszynką na spirytus od złr. 1-50, 2, 3 do 15. Kuchenki żelazne bez maszynki do gotowania po 40 i 60 ct. i 1 złr.

(Ciąg dalszy nastąpi)

TREŚĆ: A komuż to aniołkowie? wiersz. — Kto winien? powieść z życia młodzieży warszawskiej przez Izę Moszczeńską. — Do bieguna, napisała St. Kossowska. — Piosnka sieroty, wiersz Maryi Konopnickiej. — Pierwszy arlekin, napisała A. I. Wieczór wigilijny, napisała Wiktoryja Hozetowa. — Nie ma Józia — Józio jest, komedijka Zofii Grynbergowej. — Zabawki naukowe. — Zagadki. — Korespondencye redakcyi. — W dodatku: „Światełko“ i „Spis rzeczy do „Małego Światka“ i „Dodatek powieściowy“.